

Stefan Zabierowski

Okupacyjne wspomnienia z Gorlic

Urodziłem się w Gorlicach 3 maja 1940 roku i - wobec młodego wieku - moja pamięć o wojnie i okupacji jest cząstkowa i niepełna. Dlatego też, snując moje wspomnienia z lat dzieciństwa, będę je uzupełniać wiedzą, którą uzyskałem później.

Jak znalazłem się w Gorlicach? W momencie wybuchu wojny moi rodzice Jadwiga z Łobaczewskich i Stanisław Zabierowscy mieszkali w Krakowie, przy ul. Karmelickiej, razem z babcią Kazimierą, matką mojej mamy. Z chwilą wybuchu wojny siostra mamy, Zofia, zabrała babcię ze sobą do Tarnowa, gdzie mieszkała i uczyła w liceum sióstr urszulanek. Po kilku dniach wojny, podobnie jak wielu krakowian, rodzice postanowili maszerować na wschód, mając nadzieję, że gdzieś w okolicach Polesia, na tamtejszych rozlewiskach i bagnach, pochód niemiecki zostanie zatrzymany.

Było to wielkie złudzenie. Bowiern wypadło im iść zatłoczonymi drogami, pod bombami, w głodzie i lęku o życie. Pewnego razu, dzięki pojawieniu się oddziału polskiej kawalerii, ocalili życie zagrożenie przez zwyczajnych bandytów. Mama wspominała przejście przez bombardowany przed kilkoma godzinami Janów Lubelski, gdzie moi rodzice musieli omijać, leżące na ulicy osmalone trupy mieszkańców tego miasteczka. Ostatecznie doszli aż pod Krasnystaw. Wtedy z tamtej strony wyruszyła armia sowiecka. W tej sytuacji rodzice postanowili wrócić do Krakowa. Nie było to łatwe. Przechodzili przez graniczną rzekę San, zanurzeni po pas w wodzie, kiedy niemiecki żołnierz kazał im wracać. Sytuację uratowała świetna znajomość przez ojca języka niemieckiego i udało się przekonać okupanta, żeby pozwolił im przejść na drugi brzeg rzeki. Ostatecznie, po wielu przygodach, dotarli do swojego mieszkania w Krakowie, aby się przekonać, że nie mają tu nic do roboty. Nie mieli pieniędzy, brakowało im jedzenia, a także nie mieli pracy, bo Niemcy pozamykali wszystkie szkoły średnie.

W tej sytuacji ojciec zdecydował, że mają pojechać do Gorlic, do jego rodzinnego domu, przy ul. Stróżowskiej, w którym mieszkali dziadkowie - Barbara i Andrzej Zabierowscy. Tak się też stało. Zresztą nie oni jedni, boiwniem do dziadków zjechała też rodzina siostry taty z mężem i dwoma córkami.

Właśnie w Gorlicach, w szpitalu miejskim, pod opieką doktora Jana Rybickiego przyszedłem na świat. Byłem bardzo chorowity, więc licząc się z najgorszym, ochrzczony zostałem w pośpiechu z wody. Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa łączą się z chorobami. Chorowałem na zapalenie ślepej кишки i tylko dzięki troskliwej opiece doktora Rybickiego, przeżyłem bez operacji, leżąc przez dwa miesiące prawie bez ruchu w improwizowanym łóżeczku ze skrzyni po mydle. Pamiętam też, że chyba w wieku trzech lat chorowałem na ospę wietrzna i miałem całe ciało pokryte swędzącą wysypką. Ale dzięki troskliwej opiece rodziców i dalszej rodziny wyszedłem z tej opresji bez szwanku. Do dziś dnia wspominam smak herbaty lipowej, jaką mi dawano na zabicie gorączki, bo innych leków nie było.

Przed rodzicami stanął problem jak zdobyć pieniądze na utrzymanie. Jak wiadomo, szkoła średnia nie wchodziła w rachubę. Ojcu udało się zdobyć zatrudnienie w - powstałej za zgodą okupanta - szkole handlowej, która ulokowana została w budynku gorlickiego

gimnazjum. Ojciec wykładał w tej szkole niemiecką korespondencję handlową. Natomiast matka zdobyła pracę w - mieszczącej się na Dworzysku - szkole krawieckiej. Tak więc rodzice mieli skromne, ale jakieś środki utrzymania. Z czasem rodzice zaczęli dorabiać robieniem letnich butów dla kobiet. Podeszwy były ze zużytych opon samochodowych, z góry były taśmy z grubego materiału, a całość była ozdobiona - zaprojektowaną przez mamę, która miała wykształcenie plastyczne - wiązką kwiatów ze sukna. Buciki te sprzedawał jeden ze sklepów przy ul. 3-maja.

Moje najwcześniejsze chyba wspomnienia z dzieciństwa dotyczyły dwóch rzeczy. Pierwszą było pasienie krów z dziadkiem. Dziadek Andrzej, w podeszłym już wieku, zabierał wnuczka by towarzyszył mu w pasieniu, w pobliżu domu, dwóch krów - jednej brązowej, drugiej białej. Czynność ta bardzo mi imponowała. Nie trwało to długo, bo krowę brązową zabrali Niemcy, a z czasem biała gdzieś przepadła. Drugim zapamiętanym wydarzeniem był żółw, jakiego otrzymałem od kogoś z wujków w prezencie. Skąd się wziął? Słyszałem, że owe żółwie przywieźli w dużej ilości Niemcy, po zajęciu Grecji.

Ale żyliśmy pod okupacją. Jej przejawy były nader widoczne. Około 150 metrów od domu dziadka, na wzgórzu mieścił się posterunek żandarmerii niemieckiej. Często widziałem patrole żandarmów, spacerujących w hełmach i pod bronią wzdłuż ulicy Stróżowskiej. Kiedyś starsza kuzynka zwróciła mi uwagę na człowieka w skórzanej kurtce, ozdobionej odznaką ze swastyką, mającego na głowie tzw. tyrolski kapelusz z kitką. To gestapowiec. Brzmiało to groźnie! Symbolem okupacji niemieckiej stała się płaskorzeźba wrony, umieszczona wysoko na budynku starostwa. Za drugi symbol mogły uchodzić resztki po rzeźbie polskiego orła, pozostawione nad bramą wejściową do gorlickiego gimnazjum. Jako dziecko dziwiłem się, że takiego paskudnego ptaka, jak wrona obrali sobie Niemcy za swój herb.

Codziennie w południe gromadzili się mieszkańcy Gorlic na rynku, wokół wysokiego słupa, na którym umieszczony był głośnik w kształcie talerza. Przez głośnik ten podawano wiadomości z frontów, zawsze zaczynające się od słów - "Główna kwatera Fuhrera donosi". Przypominam sobie, jak pewnej zimy żołnierze niemieccy zaczęli chodzić w kożuchach i futrach. Starsi poinformowali mnie, że surowa rosyjska zima zadała Niemcom wielkie straty. Był to już po bitwie pod Stalingradem.

Pewnego razu Ojciec, który miał dzień wolny, bo w międzyczasie dostał nową pracę na kopalni ropy, która mieściła się na Magdalenie, zabrał mnie do miasta, by spotkać się z wujkiem Emilem, który właśnie przybył z Krakowa i zamieszkał u sióstr, w małym domku koło gimnazjum, przy ulicy Kołłątaja. Szliśmy w kierunku rynku przez prawie puste miasto. Ojciec się dziwił, gdzie podzieli się ludzie. Również w domku nikogo nie było. Kiedy opuszczaliśmy domek bez lokatorów, we drzwiach zatrzymał nas uzbrojony żołnierz niemiecki i chciał ojca aresztować, bowiem, jak się okazało, w mieście była łapanka. Stąd też, kto mógł, uciekał. Między ojcem a żołnierzem toczyła się po niemiecku rozmowa, w rezultacie której żołnierz zostawił nas w spokoju. Po latach dowiedziałem się od taty jej przebiegu. "Niech się pan nie wygłupia, chce mnie pan aresztować w pierwszym dniu mojego urlopu" - powiedział ojciec, a na to Niemiec odparł - "Kiedy ja doczekam się swojego urlopu". W trakcie rozmowy okazało się, że żołnierz pochodził z Hamburga, miasta, które mój ojciec znał z lat przedwojennych, bowiem przebywał tam na stypendium Funduszu Kultury Narodowej. Udobruchany żołnierz poradził nam, abyśmy przez godzinę nie wychodzili na miasto. Wróciliśmy do domu i schowaliśmy się za sągami drzewa, które były w podwórku tego domu. Kiedy stwierdziliśmy, że już nie było Niemców, ostrożnie wróciliśmy do naszego domu, przy Stróżowskiej.

Wydarzeniem, które stało się dla nas jednym z najważniejszych w latach okupacji, było tak zwane tajne nauczanie, Hitlerowcy pozamykali wszystkie szkoły średnie - gimnazja i seminaria nauczycielskie. Liczna młodzież chciała jakoś wypełnić czas wojenny, by po zakończeniu działań na frontach, startować na wyższe studia. Tajne nauczanie początkowo

zaczynało się od prywatnych lekcji pojedynczych uczniów, by z czasem przyjąć zorganizowane formy.

Organizatorami tajnego nauczania na terenie Gorlic i powiatu gorlickiego byli dwaj dawni przyjaciele ze studiów w Krakowie - historyk Kazimierz Czyżyk i polonista i germanista - mój ojciec. Z czasem dołączyli do nich liczni nauczyciele. Zapamiętałem kilka nazwisk - dr Antoniny Gawlik, Heleny Dziedzic, Wandy Ręczkowskiej, Romana Maksymowicza, Tadeusza Pszorna, Wiktora Lewickiego i Franciszka Rusinka. Najwybitniejszą postacią wśród nauczających był chyba, ukrywający się w Stróżach, pod fałszywym nazwiskiem, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, wybitny matematyk, Hugo Steinhaus. W tajnym nauczaniu brali też udział księża Teofil Górnicki i Jan Mleczo.

Lekcje odbywały się w kilkunastu prywatnych mieszkaniach na terenie Gorlic i sąsiednich wsi polskich. Spośród wsi bardzo wyróżniała się chęcią do nauki młodzież z Ropicy Polskiej. Nauczanie - szczególnie języka polskiego i historii, a także innych przedmiotów - odbywało się według programów przedwojennych. Jako dziecko wiedziałem, że o tajnym nauczaniu nie wolno, z obawy przed represjami hitlerowskimi, nikomu mówić. Moi rodzice zajmowali w domu dziadka przy ul. Stróżowskiej pokój z kuchnią; Lekcje odbywały się w tym pokoju, zaś moja mama i ja czuwaliśmy w kuchni. Mama wielokrotnie sprawdzała na zewnątrz domu, czy nie kręci się ktoś podejrzany.

Aby się zabezpieczyć przed niespodziewanymi wizytami hitlerowców .inscenizowano lekcje tajnego nauczania jako lekcje języka niemieckiego. Pod ręką były stosowne podręczniki oraz tekst dramatu Goethego "Faust". Wszyscy znali jedną ze scen, by w razie inspekcji niemieckiej, zapewnić niespodziewanego gościa, że właśnie scenę tę tłumaczyli. Chociaż kilkakrotnie zdarzały się sytuacje zagrożenia, nie zachodziła potrzeba wykorzystania tego podstępu. W ogóle w czasie tajnego nauczania nie było z powodu tych zajęć żadnej "wpadki".

Ojciec mój, który uczył w kilku prestiżowych szkołach średnich, a od roku 1951 na uczelni wyższej, jaką była katowicka Wyższa Szkoła Pedagogiczna, przekształcona później w Uniwersytet Śląski, wielokrotnie zapewniał, że tak znakomitych uczniów, jacy uczestniczyli w kompletach tajnego nauczania, nie miał już nigdy w życiu.

Wielkim wydarzeniem w dziejach tajnego nauczania była matura. Słowo to usłyszałem po raz pierwszy pewnego słonecznego dnia 1944 roku. Egzamin maturalny odbywał się w naszym mieszkaniu. W pokoju, za stołem, zasiedli członkowie komisji egzaminacyjnej. Uczniowie przemykali się pojedynczo pomiędzy domami obok ulicy Stróżowskiej, starając się, by nie zwracano na nich uwagi. Po zdaniu egzaminu, również zachowując wszelkie zasady ostrożności, pojedynczo opuszczali nasz dom. Tajemnica była tak przestrzegana, że nawet sąsiedzi nie wiedzieli, co się odbywa w naszym mieszkaniu. Zaświadczenia o zdaniu matury, podobnie jak świadectwa o ukończeniu danego roku nauki, wypisywano na maleńkich świstkach papieru, by można je było łatwo zniszczyć. Świadectwa takie podpisywał mój ojciec pseudonimem "Las".

Warto w tym miejscu dodać, że niektórzy absolwenci gorlickiego tajnego nauczania robili po wojnie kariery naukowe. Dość wymienić wybitnego historyka, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Mariana Zgórniaka, czy znawcę cukrzycy, profesora warszawskiej Akademii Medycznej, Artura Czyżyka..

Może należy w tym miejscu przypomnieć, że nauczyciele i wielu uczniów tajnego nauczania, mimo zmieniających się po wojnie okoliczności, utrzymywali przez wiele lat kontakty przyjacielskie i towarzyskie.

Choć byłem małym chłopcem, to jednak w latach wojny stosunkowo nieźle zdawałem sobie sprawę z sytuacji. Wiedziałem, że Polska jest okupowana przez Niemców, a Polacy walczą na całym świecie o niepodległość. Ojciec pokazywał mi schematyczną mapę Europy i

wskazywał, że w Anglii, której kształt przypominał dziecku zajaczką, przebywają żołnierze polscy. Znajomy krawiec, który mieszkał w sąsiednim domu, a przed wojną był krawcem wojskowym w garnizonie w Przemyślu i szył oficerom mundury, opowiadał mi o służbie wojskowej i pokazywał piękne guziki z orzełkami, jakie nosili polscy oficerowie w galowych mundurach.

Chcąc zrobić mi przyjemność, przyszył ów krawiec trzy, czy cztery, takie guziki do mojego kubraczka, z czego byłem strasznie dumny. Oczywiście, kiedy w pobliżu był żołnierz niemiecki, szybko ściągałem kubraczek i zwijałem tak, aby nie było widać guzików z orzełkami. W tym samym domu na półpiętrze mieszkał pan Szymczyk, który służył w legionach Piłsudskiego. On pokazywał mi orzełka legionowego, który nosił na czapce, z literką S na tarczy. Pewnego razu starsza kuzynka zabrała mnie do jednego z mieszkań, przy ul. 3-go maja. Były tam dwie kobiety, które coś szyły. W okrągłym kółku znajdował się błyszczący materiał, w połowie biały, w połowie czerwony. Na czerwonym tle dziewczęta te haftowały polskiego orzełka. Powiedziały nam, że właśnie haftują sztandar dla oddziału partyzanckiego.

Mój wujek, Edward Filipak, mieszkający w Czermej, też był partyzantem. Często brał mnie na kolana i śpiewał piosenki wojskowe. Dopiero po wojnie, po śmierci wujka z rąk hitlerowców, dowiedziałem się, że był porucznikiem Kedywu Armii Krajowej.

W Gorlicach mieszkało wielu Żydów. Kiedy w początkach okupacji przechodziłem ze starszymi przez Dworzysko, pokazywano mi dwa budynki, mówiąc że to były żydowskie świątynie, zwane bóżnicami. Ja sam, w pobliżu studni koło naszego domu, bawiłem się z żydowską dziewczynką z sąsiedztwa, która miała na imię Renatka. Przelewaliśmy wodę z aluminiowych kubków. Pamiętam też jak do dziadków przyszedł Żyd w chałacie z długą brodą, prosząc o jedzenie.

Pewnego razu wieczorem moja mama postanowiła odwiedzić znajomą sąsiadkę Żydówkę. Wyjście z domu opóźniło się, bo postanowiła przed wyjściem jeszcze się pomodlić. Kiedy opuściła dom, zobaczyła, że budynek, w którym mieszkali żydowscy sąsiedzi, jest otoczony przez żandarmów niemieckich, którzy wyprowadzają jego mieszkańców. Na drugi dzień, kiedy mama dowiedziała się, że Żydów umieszczono w pomieszczeniu zwanym buciarnią, wzięła ze sobą butelkę z herbatą z mlekiem i proszki od bólu głowy i poszła do owej buciarni. Mama przekupiła strażnika Ukraińca i on wywołał znajomą Żydówkę. Mama opowiedziała później, że ta młoda kobieta, brunetka, w czasie nocy spędzonej w buciarni prawie całkiem osiwiła.

Później Żydzi całkiem zniknęli. Starsi chronili mnie, abym nie widział okrucieństw Zagłady. Pewnego razu, kiedy wieziono ulicą Stróżowską na wozach trupy rozstrzelanych Żydów, a ja pobiegłem w kierunku ulicy, mama zasłoniła mi oczy i zaprowadziła do domu.

Ale nie wszyscy Żydzi zginęli. Z relacji powojennych wiem, że mecenas Aleksandrowicz i jego córka Irena, zostali uwolnieni przez znajomego z pociągu, który stał na stacji w Gorlicach, by zawieźć uwięzionych na zagładę do Bełżca. Ratujący wykorzystał fakt, że właśnie dokonywał się nalot radziecki i wartownicy niemieccy schowali się w rowie przeciwlotniczym.

Do najmiłszych wspomnień okupacyjnych należały nasze wizyty w Czermej, majątku ziemskim, położonym w powiecie jasielskim. Właścicielką tego majątku była stryjenka mojej mamy, ciocia Lonia Łobaczewska. Ciocia ta kilkakrotnie w ciągu roku zapraszała moich rodziców, by spędzili parę dni w tym dworze. Jak pamiętam, dwór ów był w latach okupacji schronieniem dla wielu ludzi. Przebywał tam wówczas, spokrewniony z rodziną, wybitny malarz Tadeusz Brzozowski. Już wiele lat po wojnie, jako student UJ, miałem zaszczyt zwiedzania w krakowskich Krzysztoforach wystawy plastycznej pod kierunkiem Tadeusza Brzozowskiego.

Ale dla dziecka największą przyjemnością w Czermnej była możliwość przejazdu na ogromnym, jak mi się wówczas wydawało, psie bernardynie, który wabił się Barry. Również mąż córki cioci Loni, Olusi, wujek Edek, często zabierał mnie na źrebaka. W niedzielę jechaliśmy wszyscy powozem do miejscowego kościoła i zasiadaliśmy, w pobliżu ołtarza, w tzw. kolatorskiej ławce, przeznaczonej dla fundatorów kościoła..

W późniejszych latach wojny, kiedy jechaliśmy pociągiem do Jasła, gdzie w pobliżu stacji kolejowej czekał na nas powóz z Czermnej, uwagę moją zwracały niemieckie pociągi sanitarne, przerobione z wagonów towarowych, gdzie z desek zamontowano piętrowe łóżka, na których leżeli ciężiej ranni żołnierze niemieccy. Lżej ranni stali w drzwiach wagonów.

Muszę dodać, że rodzina z Czermnej wspomagała moich rodziców materialnie, przede wszystkim żywnością, pamiętam worek mąki, który dla nas przywieziono z tego dworu. Wujek Edek, którego bardzo lubiłem, śpiewał piosenkę, której fragment zapamiętałem do dziś:

"Za kanałem leży Anglia.
Przed kanałem czyha wróg,
Jak daleko jest do Anglii.\nGdzie najdroższy chłopak mój

Goodbye Picadilly,
Goodbye mister John
Wroga zamknę w angielskim ulu,
A potem zobaczymy się"

Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że wojna zbliża się do końca. Ponieważ linia frontu przebiegała niedaleko, w Gorlicach pojawiły się nowe niemieckie jednostki wojskowe - strzelcy alpejscy ze stylizowanymi szarotkami na boku miękkich czapek oraz żołnierze artylerii przeciwlotniczej w niebieskawych uniformach z oznaczonymi stopniami na czerwonych patkach na kołnierzu. Budynek gimnazjum i tzw. Belweder, przy ul. Stróżowskiej, zamienione zostały na szpitale wojskowe. Na mieście widziało się wielu rannych żołnierzy hitlerowskich, często z rękami na temblaku, którymi opiekowały się pielęgniarki w popielatych pelerynach.

W tym czasie pojawiły się w Gorlicach, noszące czarne uniformy, oddziały milicji ukraińskiej w służbie niemieckiej. Ludzie mówili o nich, że są gorsi od gestapowców. Pewnego razu, kiedy przebywałem w domu jedynie z mamą, przyszedł do nas taki milicjant, aby mamę aresztować. Mama zdecydowanie protestowała, pokazując owemu milicjantowi zaświadczenie z pracy, opatrzone pieczęcią z niemiecką wroną. Zrobiło to jakieś wrażenie i milicjant ów zostawił mamę w spokoju.

W lecie przez kilka dni i nocy odbywał się ulica Stróżowską wielki ruch wojsk niemieckich. Jeden za drugim jechały samochody ciężarowe, czołgi, wozy taborowe, maszerowały oddziały żołnierzy. Mimo, że nasz dom oddalony był o 100 metrów od drogi, we wszystkich oknach drżały szyby.

Na rynku na ścianie jednego z domów pojawił się niemiecki plakat propagandowy. Przedstawiał on ogromną żabę oznaczoną sierpem i młotem. Nad żabą stał żołnierz niemiecki, trzymający za lufę karabin i kolbę zmierzający by zabić tę żabę. Warto może przypomnieć, że po kilkudziesięciu latach zobaczyłem reprodukcję tego plakatu w amerykańskiej historycznej monografii, poświęconej niemieckiej propagandzie wojennej, w rozdziale "Poland".

Coraz częściej można było zobaczyć oznaki osłabienia niemieckiego wojska. Na ulicy Stróżowskiej pojawił się silny patrol niemieckiej żandarmerii wojskowej, z charakterystycznymi metalowymi półksiężycami pod szyją, na których umieszczona była

wrona. Patrol ten zatrzymywał i kontrolował niemieckie samochody wojskowe, przede wszystkim ciężarówki. Starsi mówili wówczas, że żandarmi szukają dezertersów z niemieckiego wojska.

Ponieważ w Gorlicach było dużo żołnierzy niemieckich, odpowiednie służby szukały dla nich kwater. Na szczęście nasz dom był nader skromny, nie groziło mu zakwaterowanie żołnierzy. Ale już w niedalekim murowanym domu ulokował się niemiecki generał. Zwrócono mi uwagę na jego naramienniki, plecione ze srebrnego materiału. Ale niezależnie od służb, niektórzy żołnierze szukali kwater na własną rękę.

Pewnego razu przyszło do nas dwóch dość sfatygowanych żołnierzy, szukając pomieszczenia. Niespodziewanie wdali się z rodzicami w dłuższą rozmowę, oczywiście toczoną po niemiecku. Po zakończeniu rozmowy odeszli. Zauważyłem, że oboje rodzice byli bardzo poruszeni. Okazało się, że jeden z żołnierzy został wzięty do wojska z seminarium duchownego, a drugi był jego przyjacielem. Ku zdumieniu rodziców obaj ci żołnierze niemieccy w ostrych słowach krytykowali Hitlera. Wypowiedzi ich zrobiły na rodzicach wielkie wrażenie. Były sygnałem, że hitlerowcy przegrywają. W tym czasie Niemcy brali bardzo wielu młodych ludzi do budowy systemów fortyfikacyjnych, ponieważ Rzesza hitlerowska była zagrożona ze wschodu i zachodu. Praktykę tę opisał wówczas krążący anonimowy wierszyk. Ot jak go zapamiętałem:

"Wał Atlantycki zdał się na nic,
Wróg się zbliża już do granic,
Więc przyszedł rozkaz surowy,
Wszyscy muszą kopać rowy.
Rowy to wynalazek nowy.

Arbeitsamty, arbeitsamty
Przeszukują wszystkie kąty..."

Tymczasem - zwłaszcza wieczorami i w nocy - słychać było odgłosy rosyjskiej artylerii. Szczególnie osobliwym głosem wiu-wiu wyróżniały się katusze. Mimo to rządy niemieckie w Gorlicach trwały jeszcze około pół roku. W zimie sytuacja zaczęła się radykalnie zmieniać. Nad miastem pojawiały się radzieckie samoloty i od czasu do czasu zrzucały bomby.

Pewnego styczniowego popołudnia wyszliśmy z piwnicy od sąsiadów, gdzie schroniliśmy się przed bombardowaniem i zobaczyliśmy, idących od strony Magdaleny, żołnierzy radzieckich. Wówczas, chyba po raz pierwszy usłyszałem słowa "sowieci" i "bolszewicy". Muszę powiedzieć, że żołnierze radzieccy, którzy w porównaniu z Niemcami, wyglądali niedbale, na uszatkach mieli hełmy, co wyglądało śmiesznie, wyróżniali się nadzwyczajnym duchem bojowym. Pytali mieszkańców, gdzie są jeszcze Niemcy i jak daleko jest do Berlina. Gorlice zostały uwolnione od okupanta, ale wojna trwała dalej, jeszcze około pół roku.

Dla mnie najważniejszą datą stał się wówczas 3 maja 1945 roku. Wtedy to w święto narodowe, obchodzone po raz pierwszy po wojnie, udaliśmy się do kościoła parafialnego na uroczystą mszę świętą i po raz pierwszy usłyszałem głos dzwonów, które milczały całą okupację. Po mszy podążyliśmy na akademię do gmachu "Sokoła". Przemawiający na akademii profesor Józef Motyka, mówił, że zbliża się klęska Niemiec. Przerwał mu okrzyki: "Właśnie Berlin skapitulował!". Tegoż dnia skończyłem pięć lat. Tak więc moja indywidualna biografia wplotła się w wydarzenia Wielkiej Historii, które określono nazwą - Druga Wojna Światowa.